

Ostrożnie z optymizmem

28 października 2023

Już po tym, jak Państwowa Komisja Wyborcza zaczęła podawać częściowe wyniki wyborów, przedstawiciele Konfederacji zaczęli nieśmiało sugerować sukces związany z możliwością założenia klubu poselskiego oraz pozyskaniem kilkuset tysięcy wyborców w stosunku do wyborów w 2019 roku. Jest to jednak jedynie dobra mina do złej gry. 7,16 procent głosów zdobytych przez Konfederację nawet przy rekordowej frekwencji trzeba uznać za porażkę, choć nie katastrofę.

Jeszcze w piątek podczas finałowego wiecu na krakowskim rynku Sławomir Mentzen ogłaszał, że podczas tegorocznej kampanii „mieli dwa strategiczne cele”. Były nimi dwucyfrowy wynik i „tyłu posłów, żeby bez nich nikt nie był w stanie zrobić rządu”. Prezes Nowej Nadziei przekonywał swych wyborców, iż „wszystko wskazuje na to, że te obydwa cele zrealizują”, co zostało brutalnie zweryfikowane już po ogłoszeniu wyników exit poll. Wówczas Mentzen, pokazując, że nie dorósł do roli lidera partii, zmienił narrację i zamiast hurraoptyzmu popadł w marazm, przedwcześnie obwieszczając „klęskę”. Znacznie większą powściągliwość podczas wieczoru wyborczego zachowali Krzysztof Bosak oraz Grzegorz Braun, co okazało się strategią słuszną o tyle, że ostateczny wynik formacji jest o blisko punkt procentowy lepszy.

Zrzuceni ze spadochronem

Zacząć należy od tych, którzy pojawili się na listach Konfederacji oraz tego, jak najważniejsze osoby w ugrupowaniu traktowały swoich kandydatów. Jeszcze w trakcie sporu o „jedynekę” Nowej Nadziei z Wolnościowcami do ugrupowania dołączył znany z nieprzepracowywania się w roli posła Stanisław Tyszka, nie wprost, ale de facto zastępując w formacji wolnościowych posłów Artura Dziambora, Jakuba Kuleszę

oraz Dobromira Sośnierz, który ostatecznie wrócił do macierzy, ale z racji słabej pozycji startowej nie uzyskał reelekcji. Ta sztuka udała się natomiast zrzuconemu na Pomorze ze spadochronem w czasie owianych złą sławą prawyborów Nowej Nadziei Tysze.

W owych prawyborach nominację na „jedynekę” uzyskał też brat prezesa partii Tomasz Mentzen, lecz ostatecznie zrezygnował „z przyczyn osobistych” i nie wystartował w wyborach. Jego miejsce zajął, łądując ze spadochronem w Toruniu, Przemysław Wipler. Były poseł KORWiN-y co prawda przez lata był związany ze środowiskiem konserwatywno-liberalnym, ale sposób wciągnięcia go na listy wzbudził wątpliwości wśród sympatyków. Tuż przed startem kampanii wyborczej znalazło się też miejsce dla Anny Marii Siarkowskiej oraz Jakuba Banasia. Kandydatury byłej poseł Prawa i Sprawiedliwości oraz syna swojego ojca, czyli szefa Najwyższej Izby Kontroli, narobiły formacji więcej szkody niż pożytku i zostały krytycznie zweryfikowane przez wyborców przy urnach.

Przez media głównego nurtu przeorana została obecność wśród kandydatów Konfederacji „szurów” z prawdziwego zdarzenia, głoszących rozmaite teorie, wskazujące na utratę kontaktu z chociażby i płaską, ale ciągle ziemią. W wielu przypadkach absurdalne treści pojawiały się w mediach społecznościowych. Ich zweryfikowanie było zatem bardzo proste, lecz odpowiedzialne za to osoby z jakiegoś powodu tego nie zrobiły.

Z kolei działacze oraz „twardy elektorat” ugrupowania wielokrotnie okazywali swoją niezgodę na obecność na listach Magdaleny Sosnowskiej. Wpisy szczecińskiej „dwójki” w czasie ogłoszonej „pandemii” odbiegały od postawy środowiska, które miałyby reprezentować. Przedstawicielka Ruchu Narodowego wyrażała nadzieję na „odcięcie się od wszelkiej maści antyszczepionkowców”, krytykowała postawę „antymaseczkową”, zaś przyjęcie preparatu nazywała „patriotycznym obowiązkiem”. Osoby decyzyjne w partii pozostały głuche na głosy sprzeciwu, inaczej niż w przypadku głosów oburzenia, jakie przetoczyły

się przez mainstream po słynnym wpisie Natalii Jabłońskiej o psim mięsie. Konfederacja zamiast stanąć w jej obronie, rzuciła Jabłońską na pożarcie medialnym hienom, licząc być może na to, że to je zadowoli i dadzą formacji spokój.

Nic jednak bardziej mylnego, to jedynie zachęciło je do dalszych ataków, których celem stali się Samuela Torkowska oraz Janusz Korwin-Mikke. Od wolnościowego posła wielokrotnie odcinał się Bosak, ogłaszając na przykład, iż nie zna „ani jednej osoby w Konfederacji, która popierałaby podejście Korwin-Mikkego”, jeśli chodzi o wiek zgody. W przypadku Torkowskiej narodowiec zagrał natomiast „kartą modelki”, tłumacząc, że z racji wykonywanego zawodu można wybaczyć jej wypowiedź na temat polityki międzynarodowej.

Bez opowieści

Po drugie Konfederacja od początku roku postanowiła dokonać zmiany narracji i skrócić w kierunku centrum. Taka taktyka miała pozwolić na pozyskanie nowych wyborców, co w jakimś stopniu się udało, lecz niosła ze sobą także duże ryzyko. Korwin-Mikke stwierdził kiedyś, że gdyby dostosował się do systemu, to miałby „zęby wyrwane” i można byłoby go „pokazywać w telewizji”, gdyż i tak niczego by nie zmienił. Takie dostosowanie nastąpiło w tym roku w przypadku prawicowej koalicji, co spowodowało, że dla elektoratu buntu Konfederacja zaczęła jawić się jako kolejna z systemowych partyjek, a nie jako wiarygodna siła zdolna do „wywrócenia stolika”.

Zabrakło radykalizmu i kontrowersji wzbudzających zainteresowanie, choć nie w uprawianym od lat przez Korwin-Mikkego stylu wygłaszania na kampanijnej ostatniej prostej tezy, uprawiającej zdecydowaną większość w osłupienie. Konfederacji zabrakło jasnego stawiania spraw w tematach pozwalających jej na odróżnienie się od reszty. Ugrupowanie było wyraziste jedynie tam, gdzie chcąc nie chcąc, mogło najwięcej stracić, a więc na niwie światopoglądowej.

Przez lata tworzące koalicję środowiska podnosiły konieczność opuszczenia Unii Europejskiej, a jeszcze w czasie swej pierwszej kampanii, przed wyborami do unioparlamentu, Konfederacja urządzała marsz z banerem „nie dla UE”. Teraz, kiedy Bruksela wymyśla coraz bardziej absurda i ograniczające wolność rozwiązania, Konfederacja zdecydowanie odcięła się od możliwości POLEXIT-u, a niektórzy jej przedstawiciele twierdzili nawet, że rzekomo nikt normalny nie chce opuszczenia Wspólnoty. Zamiast tego zaproponowano asertywną politykę, co mniej zorientowanym wyborcom zlewało się w jedno z propagandowo prezentowanym podejściem PiS.

Przez lata środowiska wolnościowe postulowały likwidację podatku dochodowego, ZUS-u oraz sprzeciwiały się świadczeniom socjalnym, takim jak „500 plus”. Podczas zakończonej kampanii Konfederaci sprzeciwiali się jedynie podniesieniu „500 plus”, wypłacaniu świadczeń socjalnych, ale tylko Ukraińcom, a ZUS chcieli uczynić dobrowolnym, z tym że jedynie dla przedsiębiorców. W czasie, kiedy praktycznie wszystkie partie prześcigały się na jak najbardziej lewicowe postulaty gospodarcze, Konfederacja postanowiła oddać wolnorynkowe pole. Okazję wyczuła i bezwzględnie skorzystała z niej Trzecia Droga, prezentując się jako siła przyjazna przedsiębiorcom, czego dowodem miało być przygarnięcie na listy Artura Dziambora oraz Ryszarda Petru.

W pewnym momencie kampanii wyborczej na pierwszy plan wysunęły się takie tematy, jak: raport Najwyższej Izby Kontroli w sprawie polityki covidowej, afera wizowa, polityka migracyjna rządu czy napięcia na linii Warszawa-Kijów. W każdej z tych kwestii Konfederacja jako jedyna miała rację, ale to nie wystarczyło. Pojawienie się każdej z tych kwestii Konfederacja bowiem przespała, dając się ubiec działającym sprawniej hipokrytom z Koalicji Obywatelskiej.

Konfederacja aktywnie działała w czasie pre-kampanii, co przełożyło się na wzrost poparcia do rekordowych poziomów. Powszechnie jednak wiadomo, iż wyborca dysponuje pamięcią

podobną do złotej rybki i okazało się, że prawicowa koalicja zaliczyła falstart. W czasie kampanii wyborczej pozostałe komitety miały własne, choćby najgłupsze narracje, pisały swe własne opowieści. PiS straszył Donaldem Tuskiem, Koalicja Obywatelska skupiała się na odsunięciu PiS od władzy, Trzecia Droga obiecywała zgodę narodową, a Lewica przypominała swe sztandarowe, typowo lewicowe hasła. Nic takiego nie znalazło się w kampanii Konfederacji. Ugrupowaniu nie udało się narzucić żadnego swojego tematu, a wobec tych, które się pojawiały, było spóźnione.

Przedziwna kampania

Trzecim błędem Konfederacji było prowadzenie przedziwnej kampanii. Jej głównym elementem była trasa „Bosak & Mentzen na żywo”, czyli kilkanaście spotkań z liderami ugrupowania z oprawą „jak podczas koncertów”, odbywających się w największych miastach w kraju. Inaczej niż w przypadku wydarzeń z udziałem premiera Mateusza Morawieckiego czy Donalda Tuska, wieców tych, oprócz finałowego w Warszawie, nie transmitowano w sieci. Na kontach formacji, a także polityków, w Internecie pojawiały się jedynie urywki w postaci pojedynczych wystąpień lub „flesze”, gdzieś tam dostępne były jednak nagrania sympatyków. Można z nich odnieść wrażenie, że treść przemów na kolejnych spotkaniach była bardzo podobna, jeśli nie identyczna, co mogłoby wyjaśniać awersję do dzielenia się nimi on-line.

Z dostępnych fragmentów oraz jednej transmisji nietrudno wywnioskować, że wystąpienia prezesa Nowej Nadziei przypominały te z „piw z Mentzenem”, składające się głównie ze średniej jakości żartów i dużej liczby memów. Czym innym jednak są organizowane w luźnej atmosferze wakacyjne spotkania, a czym innym wiece wyborcze, tuż przed wyborami. Sposób działania krytykował redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!” Tomasz Sommer, zdaniem którego sama „koncepcja jest troszeczkę dziwna, bo przecież wydawałoby się, że w czasie

kampanii wyborczej wszystkim kandydatom zależy na jak największym nagłośnieniu każdego wydarzenia”, co przełożyłoby się na dotarcie do milionów potencjalnych wyborców, a nie jedynie do setek zgromadzonych pod sceną.

Spotkania zostały zorganizowane w robiącej wrażenie oprawie, która jednak nie powinna być najważniejszym atutem, a jedynie dodatkiem, tłem zwiększającym zainteresowanie.

□

Co więcej, liderzy Konfederacji odseparowali się od publiczności, inaczej niż Tusk prezentujący się w tej kampanii w centralnych punktach sali, otoczony przez rzesze sympatyków.

□

Z nagrań ze spotkań Bosaka i Mentzena można wnioskować, że podczas głównej części wydarzenia nie odpowiadano na pytania sympatyków, a przecież właśnie to jest esencją przedwyborczych wieców. Tajemnicą poliszynela jest, iż wyborcy nie przychodzą na nie, by tylko wysłuchać, co politycy mają do powiedzenia, bo to można dziś zrobić bez wychodzenia z domu, ale przede wszystkim po to, żeby zadać pytanie i podyskutować.

Ponadto do ostatniego tygodnia kampanii jej właściwa część w wykonaniu Konfederacji sprawiała anemiczne wrażenie. Trasa wyborcza z udziałem liderów Konfederacji składała się z zaledwie osiemnastu spotkań w czasie ponad dwóch miesięcy, podczas gdy najważniejsi politycy PiS-u i KO niemalże codziennie gdzieś się pojawiali. Tusk odwiedzał nawet liczące kilkadziesiąt tysięcy miejscowości, podczas gdy Bosak i Mentzen skupili się jedynie na największych miastach. Obserwacje te potwierdzają doniesienia ze „struktur” o tym, iż średniej wielkości miasta zostały przez czołowych polityków Konfederacji, pisząc kolokwialnie, olane.

Dobra mina do złej gry

Wynik Konfederacji, która zdobyła ponad 1,5 miliona głosów, co przełożyło się na 7,16 proc. poparcia, nie jest „klęską”, jak kreślił to w niedzielny wieczór Mentzen, lecz nie jest też sukcesem, jak chcieliby niektórzy przedstawiciele środowiska, odnajdujący się w roli rasowych politykierów nawijających wyborcom makaron na uszy. Rezultat należy uznać za porażkę, nie tylko wobec apetytów rozbudzanych również przez samych liderów, ale przede wszystkim wobec możliwości, jakie stały przed Konfederacją. Kampania wyborcza, podczas której popełniono wiele błędów, to już historia, a teraz przed Konfederacją znacznie trudniejsze zadanie, a więc wyciągnięcie odpowiednich wniosków na przyszłość. Można mieć jednak wątpliwości, czy to się uda, zważywszy, iż wszelkie krytyczne uwagi, również te zgłaszane przez osoby związane ze środowiskiem od lat, były zwyczajnie ignorowane, a jak powszechnie wiadomo, pycha kroczy przed upadkiem.

Autorstwo: Radosław Piwowarczyk

Źródło: [NCzas.info](https://nczas.info)